Nr 17. Zakopane, dnia 10 października 1919. Rok II.

ECHO TATRZAŃSKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM TATR i PODHALA

REDAKTOR: Dr Józef Diehl. **NAKŁADEM: Księgarni Podhalańskiej w Zakopanem.**

Przedpłata: rocznie 30 kor., półrocznie 15 kor. — **Numer** osobny: 1 kor. 50 hal. — **Ogłoszenia:** Cena według umowy z Administracją.

OD WYDAWNICTWA.

Adres Redakcji i Administracji: Księgarnia Podhalańska w Zakopanem, Krupówki (obok poczty). — Redakcja przyjmuje tylko listy opłacone. — Artykułów, nie podpisanych imieniem i nazwiskiem, Redakcja nie umieszcza, nie zwraca też rękopisów.— Redaktor przyjmuje w sprawach czasopisma po poprzedniem porozumieniu się pisemnem w Zakopanem („Oleńka", Krupówki.) lub w Nowym Targu (Hotel Herza, Rynek).

MSZANA DOLNA.

W *„Gazecie Warszawskiej“* (n-ry 263 i 264 z 26 i 27 września r. b.) p. Stanisław Biega, sekretarz Związku Sokolego w byłym zaborze austryjackim, ogłosił rzecz o rozwiązaniu t. zw. legjonu wschodniego w Mszanie Dolnej p. n. „Dzień 26 września 1914.“

Ponieważ pobudki tego czynu były — jak słusznie pisze autor — „pierwszym objawem właściwego kierunku polityki polskiej“ po wybuchu wojny, a na Podhalu, mimo, że ziściły się tutaj, nie są dostatecznie znane, — przeto powtarzamy istotną część jego artykułu i jak on zaznaczamy, że „nie idzie tu o stwarzanie jeszcze kilku argumentów przeciw politycznym przeciwnikom doby mienionej, czy obecnej, lub o ostateczne pognębienie błędnych sądów, czy dążeń politycznych. Uczyni to z niemi prawda i historja. Lecz obecnie jest czas i pora tę prawdę utrwalić podawaniem faktów nieznanych, prostowaniem fałszywych sądów i usuwaniem legend, wytworzonych przez nienaturalne warunki, wśród których trzeba było działać.“

W Zakopanem, gdzie — jak pamiętamy — usiłowano tak gorliwie przy pomocy lekkomyślnej gawiedzi kobiecej poniżyć kierowników t. zw. legjonu wschodniego obfitem słowem i drukiem*) — sprostowanie fałszywych sądów o dniu 26 września r. 1914 — tem bardziej uważamy za pożyteczne.

Wybuch wojny zastał Związek Sokoli w toku nawiązywania stosunków z Drużynami Strzeleckiemi i Drużynami Bartoszowemi. Utworzenie Centralnego Komitetu Narodowego we Lwowie w pierwszych dniach sierpnia posunęło połączenie tych organizacji znacznie naprzód. Przy Związku powstała „komenda wojskowa“, której podlegały drużyny Sokole i Bartoszowe; Drużyny Strzeleckie, mające wówczas odrębny aparat wojskowy trzymały się od komendy wojskowej na uboczu jednak utrzymywały stosunki z zarządem Sokoła.

Komenda wojskowa zaczęła od tego, iż systematycznie usuwała t. zw. czynniki cywilne organizacji z zamiarem zniweczenia zupełnego wpływu ich na bieg rzeczy. Ścisłe wiadomości, jakie zarząd Sokoła posiadał o wpływach sztabu generalnego korpusu lwowskiego, wywieranych na komendę wojskową przy pośrednictwie kapitana Bergera, kazały się mieć na baczności.

Po uchwałach krakowskich z 16-go sierpnia i utworzeniu N. K. N. a wraz z nim sekcji wschodniej i wydziału wojskowego tej sekcji, stosunki trzech wymienionych organizacji się utrwalały. Organizacje wywierały przez wydział wojskowy stanowczy wpływ na „wspólną komendę wojskową“ wówczas wytworzoną, nie przeszkadzając jej wcale, owszem rzetelnie pomagając w wypełnianiu zadań czysto wojskowych. Stosunek organizacji do siebie wyrażał się we wspólnem i zgodnem zapatrywaniu na stosunek sprawy polskiej do Austrji i Niemiec. Różnic pod tym względem nie było żadnych. Pod wpływem wypadków utrwalał się i wspólny a zgodny pogląd na stosunek do „Strzelca“ i „Komisję skonfederowanych stronnictw“ rządzącą w sekcji zachodniej N. K. N. bez oglądania się na kogokolwiek.

Jasnem jest z poprzedniego przedstawienia poglądów Związku Sokolego na stosunek do Austrji, że odezwa N. K. N., wydana po uchwałach krakowskich, tak silnie wiążąca sprawę polską z losami Austrji, nie wywołała entuzjazmu w organizacjach mających swą siedzibę we Lwowie. Zwłaszcza, że zaszedł szereg zdarzeń zaraz w początkach sierpnia, wskazujących na to, iż Komisja skonf. stron., mająca swą siedzibę w Krakowie, w sprawach najważniejszych pójdzie przebojem w swoim dotychczasowym kierunku, licząc na bierność i łatwowierność społeczeństwa, które się dawało zaskakiwać faktami i pozwalało się teroryzować.

Zatem najpierw mistyfikacja z „rządem narodowym“ w Warszawie, o którym wróble ćwierkały, iż siedzi sobie najspokojniej w Krakowie i jest jądrem osławionej Komisji Tymczasowej. Potem mistyfikacje z odezwą Piłsudskiego z 10 sierpnia wzywającą „cały naród do skupienia się koło tego rządu anonimowego“, gdyż „po za tym obozem zostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni“ argumentowała odezwa; odezwę ogłosiła Komisja jako zastępczyni rządu narodowego warszawskiego. I znowu pokazała się odezwa „komisarza rządu nar. na Galicję“ Sikorskiego, pełna blag i słownych efektów, która zapewniała, że „potężna armja austrjacka pozostaje w zupełnej harmonji z naczelną komendą wojsk poskich, uznaje i opiera się na zorganizowanych przez nią (komendę) władzach cywilnych“, że „cel wojny, którą prowadzi dziś monarchja austro-węgierska z Rosją, pokrywa się z naszym“, że „orjentacja strzelecka zapanowała nad Polską“ — odezwa w której pan komisarz wzywa, aby wszystko, „co w Polsce żywe, poddało się komendzie strzeleckiej“.

Z temi pismami wiąże się niesmaczne kłamstwo o „zwycięstwie pod Miechowem“, w którem było „400 zabitych i 140 rannych“ i manifestacje z powodu przelania krwi polskiej, na drugiej stronie tylko pogłębiły nieufność do całego przedsięwzięcia strzeleckiego. Nawet naiwnych uderzała z jednej strony nieodpowiedzialność aranżerów, a z drugiej bezwzględne wyzyskanie naiwności i entuzjazmu przez austryjaków i oddane im sługi.

Czyż nie można było, analizując to wszystko dojść do stanu umysłu, któryby kazał odpowiedzieć na słowa odezwy Komisji z sierpnia „kto nie z nami, ten przeciw nam“, musi się stać naszem hasłem.

„Musimy zwartością i siłą nakazać milczenie tym, których słowa i czyny sprzyjają Rosji“ — a zatem my przeciw wam, bezkrytyczni słudzy interesów Austrji. A jednak nie odpowiedziano w ten sposób tym, którzy ugruntowaną niewiarę w Austrję nazywali sprzyjaniem Rosji. Lecz postanowiono działać według wskazówek głosu własnego sumienia narodowego. I uczyniono to z całym spokojem i z wiarą w słuszność swej sprawy.

Wśród tych spraw wielce podniecających umysły, „potężna armja austrjacka“, bita przez Rosjan na wszystkich punktach, podchodziła, cofając się pod Lwów, przepełniony zbiegami ze wschodniej części Galicji. Należało postanowić, co zrobić z ludźmi, którzy przyjechali wskutek wezwania mobilizacyjnego związku Sokolego. Było ich przeszło 600 uzbrojonych i ubranych kosztem własnym lub towarzystw. Byli to urzędnicy, profesorowie, studenci wyższych uczelni, zatem ludzie, którzy z ogółem polskim podzielali nieufność do Austrji a których nie można było zostawiać w niepewności lub nieświadomości politycznej. Żądali bowiem wyjaśnień.

*) Wystarczy wspomnieć nikczemną broszurę p. n. „Pod Sąd! Historja Legjonu Wschodniego,“ — nikczemną, bo bez podpisu autora, wydawcy, ni drukarza, aby nikogo nie można było pociągnąć do odpowiedzialności za oszczerstwa, rzucone na ludzi, wskazanych władzom austryjackim po imieniu i nazwisku.

A ważyły się wówczas sprawy zasadnicze. Wydział wojskowy żądał dla legjonu pewnej samodzielności a mianowicie wpływu N. K. N. na mianowanie oficerów, wypłatę żołdu i ponieważ już głośno było o potrzebie składania przysięgi, żądano, aby to nie była zwykła austrjacka „Fahneneid", lecz aby dodano do niej słowa „walczę za niepodległość Polski" — „na ziemiach polskich" i t. p.

Dnia 20 sierpnia przyjechał do Lwowa dr Leo i powiedział na prezydjum sekcji, że przysięga odbędzie się „na sztandar wojskowy". Tak się ułożył po drodze w głównej kwaterze w Przemyślu. Zamilczał jednak, że będzie się przysięgać na sztandar, ale „jego cesarskiej mości" tak, jak to czynił zwykły landszturmista, bo na to się zgodził a nawet powiedział, że to wystarczy dla uczuć ochotników. Opowiedział to nieco później pułk. Hranilowicz hr. Skarbkowi w Nowym Sączu i dodał, iż gdyby dr Leo w Przemyślu był stawiał twardo jakiś dodatek, to byłby go uzyskał. Hranilowicz był jako referent tych spraw obecny przy rozmowie dra Leo z arcyksięciem Ferdynandem. Wiadomość ta wywołała ferment, który uciszono zapewnieniem, że wydział wojskowy starać się będzie o zmianę tego postanowienia.

Tymczasem austrjacy przegrali bitwę na linji Busk—Przemyślany. Trzeba było Lwów opuszczać. Stało się to wbrew życzeniom komendy wojskowej, odpowiadało jednak życzeniom niektórych członków wydziału wojskowego, którzy już wcześniej chcieli wyprowadzić młodzież nagromadzoną we Lwowie, do miejscowości spokojnej, gdzieby ją można było zorganizować pod względem wojskowym. Komenda musiała jednak wymarsz zarządzić, bo go nakazała komenda korpusu lwowskiego.

W przeddzień wymarszu zeszli się przedstawiciele Sokoła i Drużyn Strzeleckich i Bartoszowych i postanowili, iż oddziały, wychodzące ze Lwowa nie rozrywają swych dotychczasowych związków organizacyjnych, poddają się komendzie wojskowej w czasie marszu w celu utrzymania porządku, dyscypliny, jednak o krokach politycznych decydują zgodnie kierownicy organizacyjni, zostający przy oddziałach.

Dnia 29 sierpnia rozpoczął się marsz do Sanoka. W połowie drogi, w Ustrzykach, zjawił się automobilem jakiś oficer austrjacki i odbył tajemniczą rozmowę z Hallerem. Kierownicy organizacji wiedzieli już tego dnia wieczorem, iż był to szef sztabu drugiego legjonu, kapitan Jasienicki, który przywiózł rozkaz natychmiastowego marszu do Krakowa, celem złożenia przysięgi i dalszej organizacji.

Całą drogę aż do Mszany Dolnej, dokąd oddział ten doszedł za zgodą głównej kwatery austrjackiej, wypełniła walka z komendą o to, aby do Krakowa nie jechać, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa żądań o pewną samodzielność i dodatków do przysięgi i układy przedstawiciela wydziału wojskowego z główną kwaterą o te sprawy. Organizacje postanowiły jeszcze przed Sanokiem, w Lisku, iż bez uzyskania dodatków do przysięgi rozjadą się do domów, gdyż nikt nie chciał dobrowolnie służyć Austrji.

Gdy układy z główną kwaterą spełzły na niczem, gdy przyszła wiadomość o złożeniu przysięgi w Krakowie i w Kielcach, gdy z szeregu faktów wywnioskować można było, że legjonami dysponuje już c. k. komenda legjonowa, a przyszła wiadomość, że strzelców cofnięto z Królestwa do Galicji (stało się to dnia 4-go września), gdy wreszcie do Mszany przyjechał austrjacki podpułkownik Chomiński, aby odebrać od Hallera komendę oddziału, a od żołnierzy przysięgę, — postanowienie poprzednie wykonano. Legjon się rozszedł.

Smutnej prawdy dowiedzieli się ci, — było ich około 500, — którzy z ogólnej liczdy 4400 ludzi, będących w Mszanie i Rabce przysięgę landszturmową składali. Oto Chomiński powiedział im po przysiędze, iż pójdą w Karpaty „gnębić moskalofilów i bronić przeciw Rosjanom przejść na Węgry".

* * *

Co się stało dnia 26 września 1914 roku?

Oto do stanowczej postawy przeciw Niemcom (a zatem i przeciw Austrji, gdyż jasnem było, iż Austrja idzie na pasku niemieckim), z której Poznańskie dawno było znane, do chłodu, który spotkał politykę N. K. N. w Królestwie (co z równowagi wyprowadzało szczególniej żydków galicyjskich, głośno po kawiarniach wykrzykujących do Polaków: „Czemu wy nie robicie powstania w Królestwie?"), dodała ta część Małopolski, która niejednokrotnie z trybuny parlamentarnej zarzucała Austrji nieszczerość stosunku do Polski, czyn jasno i mocno tę niewiarę podkreślający. Był to równocześnie pierwszy czyn polski w polityce antyniemieckiej.

I trzeba było dwóch lat ciężkich prób i krwawych ofiar, aby tak kierownicy polityki, opierającej przyszłość Polski na Niemcach, jak i militarny filar tej polityki, doszli wreszcie do przeświadczenia, że Niemcy, czy Austrja nie dadzą nam Polski niezależnej, ani nie pozwolą na tworzenie wojska, któreby tej niezależności broniło.

Kierownicy N. K. N. ogłosili na sławnych posiedzeniach komisji politycznej Koła Polskiego i Koła Sejmowego, w lipcu i październiku 1916 r. że się zawiedli na Austrji.

Dr Biliński, prezes N. K. N. wyznał, że zawiódł się tylko na ministrze Burianie, o którym nie dawno jeszcze twierdził, iż „jak lew walczył" w Berlinie o przyszłość Polski. Natomiast p. Daszyński bez ogródek powiedział komisji, że „Austrja nas oszukuje, a tu trzeba coś powiedzieć społeczeństwu choćby to, iż nie mogliśmy przewidzieć w roku 1914 słabości Austrji." Rezultatem ich polityki krótkowzrocznej był polski „Pufferstaat" i „wyodrębniona Galicja".

A legjony, ta najszlachetniejsza ofiara, składana w celu przebłagania losu za błędy polityki?

Po wycofaniu ich z Królestwa i obronie Węgier przeciw Rosjanom, przyszły chwile walk o ich istnienie jako wojska polskiego, zakończone klęską. Nie pomogły memorjały Sikorskiego, Studnickiego, nie pomogła „Denkschrift über die Organisierung der Werbung zur polnischen Wehrmacht" Piłsudskiego, składana Beselerowi.

Trzeba było przyznać w końcu, że legjony „nie były w stanie zmienić stanu psychicznego społeczeństwa, gdyż były słabe co do liczby" — „ponadto z powodu swego zbyt ścisłego połączenia z cudzą armją nie były uważane za własne wojsko bez zastrzeżeń" (Denkschrift). Trzeba było przejść golgotę „Wehrmachtu" i korpusu posiłkowego, dojść do tworzenia P. O. W., dojść do Magdeburga i Husztu, aż do rozbijania legjonów przez legjonistów.

Legjon t. zw. wschodni zaprotestował przeciw nieszczerości Austrji w sprawie polskiej już w drugim miesiącu wojny wielkiej. Nie potrzebował na powzięcie tego postanowienia doświadczeń dwuletnich. Wczas wskazał wątpiącym właściwy kierunek walki o przyszłość Polski. — I w tem tkwi zasługa czynu, spełnionego w Mszanie Dolnej. *St. B.*

Przyszłość Zakopanego.

Dla Polski przedwojennej, dla Polski trójzaborowej, urocza wioska podtatrzańska, odkryta przez lekarza-poetę Chałubińskiego, rozsławiona przez malarza-poetę Witkiewicza, stała się miejscem, gdzie kwiat narodu, jego inteligencja, nabierała przez szereg lat tchu i sił. Poza Zakopanem nie było innego lepszego miejsca do odpoczynku, do wzajemnego zjeżdżania się i porozumiewania dla pracowników na najrozmaitszych polach działania wszystkich trzech zaborów. Składały się na to przecudna przyroda i względna swoboda polityczna, z jakiej korzystała dawna Galicja. Nigdzie na całym obszarze ziem polskich nie układały się i nie uzupełniały wzajemnie tak pomyślnie warunki przyrodzone i polityczne, jak w Zakopanem, aby uczynić z niego jedyne miejsce wytchnienia i swojego rodzaju klub dla inteligencji polskiej ze wszystkich dzielnic i kresów.

Zakopane pod tym względem nie miało współzawodników.

Położenie Zakopanego na wysokości 830—900 metrów nad poziomem morza ze wszystkiemi właściwościami klimatu średniogórskiego została należycie przez lekarzy polskich, poczynając od Chałubińskiego, ocenione, jako miejscowości o wybitnej wartości leczniczej, przeważnie dla leczenia gruźlicy. Tłumy chorych ze wszystkich stron Polski zjeżdżają tu latem i zimą, aby szukać poratowania dla zdrowia. Żadne inne uzdrowisko w Karpatach nie mogło równać się pod tym względem z Zakopanem: ani Szczawnica, jako znacznie niżej położona, ani Skole, ani Jaremcze, ani Worochta, jako bardziej od ośrodków życia polskiego oddalone.

I pod tym względem Zakopane nie miało w Polsce współzawodników.

Z biegiem lat Zakopane stało się faktycznie stolicą gruźlicy w Polsce, mimo, że starannie unikało wysnucia konsekwencji, jakie stąd wypływały. Zakopane lubowało się w drugiej nazwie, jaką mu nadano: „letniej stolicy Polski“, ale udawało, że nie wie, że jest miejscem skupienia chorych na gruźlicę.

Następstwa tego były i są fatalne. Gruźlica bowiem należy do rzędu chorób zakaźnych; chorzy na nią w początkowych zwłaszcza okresach choroby mogą wcale nie ujawniać jakichkolwiek spostrzegalnych dla niedoświadczonego profana objawów chorobowych i jednocześnie szerzyć nieznacznie drogą plucia, słabego kaszlu i chrząkania zarazki niebezpiecznej, a podstępnej choroby. Nie potrzeba tu mówić o chorych wycieńczonych, z silnym kaszlem i gorączką, choć i takich nie brak w zakopiańskich hotelach i pensjonatach.

To pomieszanie chorych ze zdrowymi, szukającymi tu wytchnienia, a nie podejrzewającymi grożącego im niebezpieczeństwa zakażenia się, było i jest najbardziej dotkliwą i rażącą bolączką Zakopanego. Brak konkurencji z drugiej strony usunął najważniejszą podnietę dla gospodarzy Zakopanego do wprowadzenia niezbędnych hygienicznych urządzeń, aby to niebezpieczeństwo, jeżeli nie usunąć, to przynajmniej zmniejszyć.

Nic się tedy nie zmieniło na lepsze niemal od czasów Chałubińskiego, w pierwotnem urządzeniu miejsc ustępowych, w usuwaniu odpadków i nieczystości, a zwłaszcza w niszczeniu plwocin chorych. Brak kanalizacji powoduje, że nieraz zawartość dołów kloacznych i śmietnisk bywa usuwana wprost do potoków, zakażając wodę i powietrze. Że obecnie już się nie daje spostrzegać budującego widoku sunącej po wartkich falach strumienia flotyli papierowych spluwaczek z ich zawartością, to należy to przypisać nie postępowi, ale spowodowanemu wojną brakowi tych przyrządów. Tem częściej natomiast widzi się ślady plwocin na ulicy, na chodnikach i podłodze, zwłaszcza publicznych lokali.

Poza tem trudno przestrzegać czystości, niezbędnej przedewszystkiem tam, gdzie się ma do czynienia z chorobą zakaźną, gdy brak w uzdrowisku łazienek, gdy rzadki pensjonat posiada własną kąpiel. Bieliznę pochodzącą tak od zdrowych, jak od chorych, piorą dziesiątki praczek, narażające siebie i swoich klientów na zarażenie się gruźlicą. Niedostateczna sieć wodociągowa, zmusza ludność, szczególnie góralską, do korzystania z wody ze studzien, najpierwotniej urządzonych, położonych nader często w bezpośredniem sąsiedztwie z oborą i z ustępem.

Oto w zarysie rejestr n a j w a ż n i e j s z y c h braków i wad Zakopanego pod względem zdrowotnym, niedopuszczalnych nietylko w uzdrowisku, ale w każdej osadzie ludzkiej, tem mniej kwalifikujących je na stolicę choćby tylko „letniej“ Polski. Nie wystarczy bowiem do tego tytułu sama cudna przyroda. Należy conajmniej wymagać, aby człowiek jej nie psuł i nie zaśmiecał.

Z chwilą odzyskania wolności zniknie dla polskiej inteligencji podnieta politycznej natury, do szukania w Zakopanem schroniska od czujnego oka i ucha obcej policji. Skoro zaś z końcem wojny otworzą się granice państw ościennych, gdy z przyłączeniem do Polski Spisza wejdziemy w posiadanie południowych stoków Tatr z ich przewyższającym ilością słońca i łagodnością klimatem, Zakopanemu będzie groziło poważne niebezpieczeństwo, że ulegnie przewadze współzawodników i, że straci dotychczasową klientelę.

Ale czas jeszcze nie stracony. Przy dobrych chęciach i energji można i należy usunąć rażące braki i wady.

W początku września r. b. odbyła się w Zakopanem konferencja powołanych czynników z delegatem ministerstwa zdrowia drem J. Jaworskim. W ostatecznych rozprawach, powzięto następujące uchwały:

1. Sporządzić plan regulacyjny, który umożliwi s t w o r z y ć z u p e ł n i e n o w e Z a k o p a n e n a s t o k a c h G u b a ł ó w k i, a stara dzielnica pozostanie handlową, nie zaś uzdrowiskiem, którem istotnie nie jest.
2. Ogłosić co rychlej ustawę dla uzdrowisk, zwłaszcza ustawę, normującą zabudowywanie.
3. Rozszerzyć sieć wodociągową, oraz zaprowadzić oświetlenie elektryczne.
4. Dążyć do skanalizowania uzdrowiska.
5. Zarządzić usuwanie odpadków wszelkich i oczyszczanie dołów kloacznych s t a l e i s y s t e m a t y c z n i e w sposób odpowiadający miejscowym warunkom.
6. Zaproponować, aby rząd podjął inicjatywę, przez wzięcie udziału w kosztach i udzielenie pożyczki na zakłady o charakterze przemysłowo-handlowym, a niezbędne pod względem zdrowotnym, jak oto: wielki zakład kąpielowy i pralnia publiczna, a także chłodnia.

Do tych wszystkich postulatów należy dodać jeszcze jeden, mianowicie budowę sanatorjów w Zakopanem dla gruźlicznych. Aby nie było pomieszania zdrowych z chorymi, należy dążyć, aby dla tychże znalazło się odpowiednie miejsce poza hotelami i pensjonatami.. W tym celu poza sanatorjum dra Dłuskiego — stale przepełnionem — po-

winien na wzór Davos'u powstać w Zakopanem, czy w jego pobliżu cały szereg sanatorjów dla zamożnej publiczności i sanatorjum większych rozmiarów dla klasy pracującej tak fizycznie jak i umysłowo. Właśnie powstaje projekt zawiązania komitetu dla urzeczywistnienia ostatniej myśli.

Założenie takich sanatorjów przyczyni się w olbrzymiej mierze do odgruźliczenia Zakopanego, a to powinno być zasadniczem zadaniem i celem przy usuwaniu braków i naprawianiu wad Zakopanego.

Nietylko ludność Zakopanego, ale cały ogół, dla którego ono było „letnią stolicą", jest zainteresowany, aby te postulaty zostały w czyn wprowadzone. Szkoda byłoby pracy i wysiłków Chałubińskiego, Witkiewicza, Janiszewskiego i w. innych, gdyby ta „perła Tatr" miała upaść. Jest wszelka nadzieja, że rząd przyjdzie z poparciem i pomocą finansową prywatnej inicjatywie, gdyby ta szczerze i z całą energją zechciała urzeczywistnić powyższe postulaty.

Ale właśnie potrzeba, aby ta prywatna inicjatywa nareszcie głos zabrała i przystąpiła do pracy. Czas nagli. Tu chodzi nie o pomyślność tego lub owego sezonu, ale o istnienie Zakopanego, jako uzdrowiska. Każdy dzień zwłoki grozi mu nieobliczalnemi stratami.

Dr Antoni Kuczewski.

Z listów do Redakcji.

Piszę ten list właściwie nie do Redakcji, ale do tych, których zadziwił fakt ukazania się fejletonu Ignacego Witkiewicza „Z podróży do Tropików" w ostatnich numerach „*Echa Tatrzańskiego*".

Dziwnie na pozór — zaiste — odbija on w piśmie, poświęconem sprawom Tatr i Podhala, mimo, że nazwisko autora — związane z człowiekiem, który wrósł tutaj nieśmiertelnie, wydobywając przez swój genjusz najistotniejsze, zdrowe piękno poezji Tatr i ludu góralskiego. Ignacy Witkiewicz, zdaje się, patrząc nań powierzchownie, być temu człowiekowi, którego nosi nazwisko, duchowo bardzo dalekim. Egzotyczny jego fejleton, przepełniony opisami malarskimi kolorowego kraju zaciekawia i niepokoi.

W kimś, kto nie zna całej twórczości Ignacego Witkiewicza, feljeton ten rozbudza apetyt, chęć poznania, wniknięcia w tę dziwną konstrukcję psychiczną człowieka, który w ramy prawdziwie artystycznego ujęcia wtłacza sny koszmarowe a potworne. Wybujała przyroda dalekich krajów męczy go i czaruje, przytłacza siłą, ale tam znalazł on dla swej potężnej indywidualności właściwe miejsce. Ten samotnik, wychowany w polskich górach, musiał przejechać dalekie morza i lądy, aby zobaczyć odbicie swoich snów nienasyconych.

Podróż też ta wpłynęła zasadniczo na jego twórczość. Ignacy Witkiewicz, wyrzucony przez 4 lata poza Polskę, kiedy tutaj działy się epokowe przewroty, jest jednym z tych udzi, nad którymi siła konieczności zaważyła, ochraniając i prowadząc różnemi drogami artystę poprzez życie osobiste i wypadki zewnętrzne do jednego tylko celu.

Dziś można powiedzieć już, kim jest Ignacy Witkiewicz. Parę wystaw obrazów w Krakowie i Warszawie, oraz ostatnia w Zakopanem dały poznać publiczności tego szermierza nowych ideji w sztuce. „Poznać" t. j. zobaczyć i dziwić się; a krytyka wykładała „o formistach" ludziom, którzy ich nie rozumieli. Zwłaszcza w Zakopanem, gdzie mało jest atrakcji dla ludzi kulturalnych (poza potężną, zamkniętą w sobie przyrodą) wystawa obrazów Witkiewicza była wielką niespodzianką.

Jaka ogromna różnica przez tych kilka lat. Dawniej to było szukanie swojej drogi, dziś świadomy siebie artysta operuje znakomitymi środkami technicznymi. Jego kontury, doskonale rysowane, zapełnione harmonją kolorów jaskrawych, pomijając treść, uderzają widza taką siłą barw i linji, jaką się widzi u dawnych mistrzów, tytanów o spontanicznych duszach. Świat wizji Witkiewicza, to koszmar potwornie bolesnej zmysłowości, wybujały sen tropikalnego słońca, olbrzymich jaskrawych kwiatów, ginących po prostu przez siłę żądz, a wszystko to przepojone głębokim smutkiem w metafizycznem przeżyciu świata.

To właśnie harmonją barw i linji mówi Witkiewicz-malarz.

Skoro „*Echo Tatrzańskie*" umieściło jego fejleton — dowód to, że Redakcja zrozumiała tego syna ewangielisty Tatr, dając mu mimo tematu egzotycznego, głos w swem piśmie, jemu, któremu granitowe skały i wicher tatrzański hartowały duszę od dziecka. *Be.*

NADESŁANE.

(Za rubrykę tę Redakcja nie odpowiada.)

SPROSTOWANIE.

I.

W korespondencji, umieszczonej w n-rze 248 „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" dnia 13 września b. r. pod tytułem: „Z zakopiańskiego bagienka" autor jej pisze o subwencji na budowę łazienek w kwocie 600.000 koron, tymczasem subwencja, przyznana na ten cel przez byłą Centralę gospodarczej odbudowy Galicji wynosi 343.000 kor., z czego za 130.000 kor. Gmina kupiła willę „Jutrzenkę", reszta zaś subwencji z polecenia Oddziału Małopolskiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu ma być użyta na budowę chłodni przy rzeźni.

Nieprawdą jest dalej, jakoby budowa łazienek miała się rozpocząć dnia 1 czerwca r. b., natomiast prawdą jest, że plany tej budowy wykończone zostały przez Biuro techniczne Wydziału krajowego, względnie Namiestnictwa dopiero teraz, wspomniany zaś Oddział Małopolski Ministerstwa Przemysłu i Handlu w piśmie z daty: Kraków 30 czerwca 1919 r. l. 69/K w sprawie subwencji na łazienki i chłodnię zapowiada, że „podaną zostanie Gminie do wiadomości tutejsza decyzja co do sprawy łazienek", która pewnie jeszcze nie zapadła, skoro do dzisiaj Zwierzchność gminna nie otrzymała o niej wiadomości.

Nieprawdą jest również, że „Gmina zezwala bezkarnie na niszczenie majątku publicznego, albowiem willa „Jutrzenka", gdzie miały być biura klimatyczne, wali się ze wszystkich stron" i t. d., — natomiast prawdą jest, że willę tę, która zresztą ma być rozebrana, zarekwirowało wojsko polskie w roku 1918 na postój części Kompanji Wysokogórskiej, a nie zniszczyło jej jednak w sposób przez korespondenta podany; („okna, drzwi i balkony zdewastowane i zdemolowane" i t. p.).

Nieprawdą jest także, jakoby cegłę przeznaczoną na budowę łazienek „rozkradła miejscowa ludność" i że „w ten sposób na długie lata udaremniono znowu budowę łazienek w Zakopanem", ponieważ prawdą jest, że z około 10.000 cegieł złożonych obok „Jutrzenki", użyto prawie całego tego zapasu na budowę budek dla transformatorów elektrycznych, skradziono zaś istot-

nie około 100 cegieł, a to z powodu braku straży nocnej, której kosztów zbyt wygórowanych w obecnych warunkach płacy, Zwierzchność gminna ponosić nie może. Nieprawdą jest również, jakoby cegły i wapno częściowo Gmina sprzedawała góralom, natomiast prawdą jest, że sprzedano część wapna na budowę mostu tutejszemu Towarz. „Sokół".

Nieprawdą jest także, że „policja miejscowa bez powodu rozpędziła 14 robotników, zajętych przy odnawianiu w Rynku willi architekty p. Szpondrowskiego z Krakowa rzekomo dlatego, że nie przedłożył planów, co było nieprawdą; w gruncie rzeczy, chciano tylko wymusić łapówkę od właściciela", — natomiast prawdą jest, że p. Szpondrowski zaczął przebudowywać dom swój bez przedłożenia planu i bez uzyskania pozwolenia, wymaganego przez ustawę budowlaną i że za to został ukarany grzywną w kwocie 50 kor. Po przedłożeniu planu i zatwierdzeniu tegoż w sposób ustawą przepisany, p. Szpondrowski prowadzi budowę dalej bez przeszkód.

Nieprawdą jest wreszcie, że góralom wolno Zakopane szpecić „potwornemi budami", czy „chłopskiemi kurnikami", a „przybyszom nie wolno odnawiać nawet stylowych willi, o ile się łapówkami nie opłacą" — natomiast prawdą jest, że wspomniane w korespondencji domy Curusia i Cukra wybudowane zostały według planów, zatwierdzonych w sposób ustawą budowlaną przepisany i to również prawdą jest, że dom wymienionego przez korespondenta przybysza (p. Szpondrowskiego) nie jest stylową willą, ale jest zwykłym domem góralskim, i że odnawianie jego było przebudową, która wymaga zatwierdzenia i zezwolenia.

Prostując te fakty, prostujemy również wnioski z nieprawdziwych przesłanek wysnute. — Wobec nie umieszczenia tego sprostowania w „Kurjerze Codziennym", ogłaszamy je w czasopiśmie miejscowem.

Za Zwierzchność gminną w Zakopanem: *Wincenty Regiec.*

II.

LIST OTWARTY

do Jaśnie Wielmożnego Pana Posła Ignacego Daszyńskiego

jako wydawcy dziennika p. n. „Naprzód".

Do Redakcji *„Naprzodu"* wysłałem dnia 22 września b. r. list polecony następującej treści:

Z powodu artykułu p. n. „Hyjeny paskarskie przy pracy" w n-rze 215 Szan. pisma z 20 września 1919 r. proszę o zamieszczenie następującego sprostowania:

Nie jest prawdą, jakoby Inspektor klimatyczny, prowadzący w Zakopanem sprawy aprowizacyjne, forytował tak nazwanych przez Szan. pismo „zakopiańskich paskarzy" Karpowicza, Muchowicza i t. d. przez przydzielanie im na metry cukru w czasie, kiedy ludność zakopiańska wcale cukru nie dostawała — natomiast prawdą jest, że Inspektor klimatyczny, rozumiejąc ciężkie położenie miejscowej ludności, przydzielił do rozdziału między ludność miejscową pół wagonu białego cukru, z ilości 1 wagonu i to wbrew dyspozycji Sekcji Ministerstwa aprowizacji, która cały ten wagon cukru tylko i wyłącznie dla pensjonatów, restauracji i letników przeznaczyła.

Nie jest prawdą, jakoby ludność miejscowa, a zwłaszcza góralska i robotnicza, była gorzej traktowaną pod względem aprowizacyjnym od innych i aby w Klimatyce panował system protekcyjny, — natomiast prawdą jest, że ludności miejscowej a zwłaszcza robotniczej wydawano w czasie najdotkliwszych braków aprowizacyjnych (wtedy, kiedy nikt wogóle niczego nie otrzymywał) cukier, odebrany celom przemysłowym, że w takich samych stosunkach aprowizacyjnych przydzielono specjalnie i tylko najuboższej klasie robotniczej fasolę i pęcak, oraz że wszelkie inne artykuły, o ile nadchodziły wogóle do Zakopanego, a były przeznaczone tylko dla kuracjuszy, wydawano jedynie na zlecenia lekarskie, a w miarę możności przydzielano je i na rejony dla całej ludności.

Prawdą jest, że cukier musi być przydzielony i ludności miejscowej i pensjonatom i restauracjom i że rozumie to kontrolująca czynności Inspektora klimatycznego w zakresie aprowizacji „Rada aprowizacyjna miejscowa", która zresztą na każdem posiedzeniu czynności te Inspektora z uznaniem podnosi i jednogłośnie absolutorjum swego mu udziela. Prawdą jest, że „Rada aprowizacyjna" która dawniej z winy członków nie mogła zebrać się w komplecie, odbywa obecnie często posiedzenia i że składa się ona z reprezentantów nietylko wszystkich sfer i organizacji konsumentów, ale i z przedstawicieli wszystkich miejscowych partji politycznych.

Nieprawdą jest, że Inspektora klimatycznego w biurze prawie nigdy niema i że referat aprowizacyjny prowadzi panna I. — natomiast prawdą jest, że Inspektor klimatyczny w godzinach urzędowych zawsze jest w biurze, że przyjmuje strony nietylko w godzinach na to wyznaczonych, ale przez cały dzień, że w referacie aprowizacyjnym nie pomaga mu nikt, że panna I. załatwia jedynie czynności pisarskie, oraz prawdą jest, że wszystkie agendy aprowizacyjne, przy których dawniej w czasie prowadzenia ich przez Gminę zatrudnionych było 7 (siedm) osób, prowadzi obecnie na życzenie Sekcji Ministerstwa aprowizacji sam jeden Inspektor klimatyczny.

Prawdą jest, że w takich stosunkach, skutek natłoku stron do Inspektora dostać się nie jest łatwo oraz prawdą jest, że konferencja balneologiczna, która obradowała w Krynicy w czasie od 15 do 20 b. m. w sprawach rozwoju i dobra uzdrowisk powzięła między innemi jednomyślną uchwałę, że obarczenie Inspektora klimatycznego w Zakopanem prowadzeniem spraw aprowizacyjnych, *uniemożliwiających mu spełnianie jego właściwych obowiązków*, jest stanowczo szkodliwem dla dobra uzdrowiska i publiczności i jako takie niedopuszczalnem i *że niewłaściwość ta musi być natychmiast usunięta.*

Nie jest prawdą, jakoby Inspektor klimatyczny niczego nie przedsiębrał w celu zwalczenia lichwy i paskarstwa, — natomiast prawdą jest, że Urząd klimatyczny wniósł do Sądu, jako do Władzy kompetentnej kilkadziesiąt doniesień w tych sprawach, o ile tylko doszły do jego wiadomości, że apelował afiszami do ludności, ukrywającej fakta nadużyć, o obywatelską pomoc w ści-

ganiu lichwy i paskarstwa, prawdą jest, że pani N. z pensjonatu „Grunwald“ w sprawie poruszonej w Szan. piśmie w Urzędzie klimatycznym wcale się nie skarżyła, oraz prawdą jest, że Inspektor klimatyczny panów Dzikiewicza, Stiela i t. d. ani nie aresztował, ani z aresztu nie wypuścił, że sprawy przeciw nim oddane były do Prokuratorji Państwa w Nowym Sączu i że w tych sprawach Inspektor klimatyczny nie ma wogóle żadnej więcej ingerencji.

Nie jest prawdą, aby kontrolora aprowizacyjnego p. Oporskiego starano się usunąć gdzieindziej, natomiast prawdą jest, że jako urzędnika podatkowego, odwołała go napowrót do służby podatkowej jego przełożona Władza skarbowa w porozumieniu z Sekcją Ministerstwa aprowizacji.

Nie jest prawdą, aby ktokolwiek złożył w Klimatyce kilka tysięcy koron w celu usunięcia p. Oporskiego, i nie jest prawdą, ażeby ktokolwiek ośmielił się taką propozycję bezkarnie postawić. — Natomiast prawdą jest, że rzucenie oszczerstwa pod przejrzystym adresem, ale w sposób ogólnikowy i anonimowy, uniemożliwiający pociągnięcie oszczercy do odpowiedzialności znamionuje podłego tchórza i łajdaka.

Nie jest prawdą, jakoby p. Oporskiemu powiedziano, że nadwyżka zapasów musi być, „bo to nie zwykłe miasto, gdzie może być wszystko wyliczone“ — natomiast prawdą jest, że wskutek nieprawidłowości w wyliczaniu się z przydzielanych zapasów w jednym ze sklepów rejonowych, sklepowi temu odebrano sprzedaż rejonową i sprawę oddano do Sądu, oraz prawdą jest, że ścisłe rejonowanie w czasie głównego sezonu, kiedy ilość ludności codzień się zmienia — jest bezcelowem i że w celu przeprowadzenia zarządzeń dla ścisłej kontroli rozdziału artykułów aprowizacyjnych zwracał się Inspektor klimatyczny kilkakroć tak do Sekcji Ministerstwa aprowizacji, jak do Starostwa w Nowym Targu.

Wreszcie nie jest prawdą, jakoby podniesione publicznie różne fakta miały być dla Inspektora klimatycznego nieprzyjemne, — natomiast prawdą jest, że Inspektor klimatyczny szczerze się cieszy, iż wskutek sprostowanej niniejszem korespondencji z Zakopanego, mógł opinję publiczną z rzeczywistym stanem stosunków zapoznać.

Sprostowania mojego nie potrzeba wprawdzie zakopiańskiej opinji publicznej, opinji ludzi rozumnych i nieuprzedzonych, o czem niech zaświadczy mieszkająca w Zakopanem Rodzina JWPana Posła.

Potrzeba jednak tego sprostowania tym wszystkim, którzy wierząc w „*Naprzód*“, a raczej w jego anonimowego a znanego tutaj korespondenta — bezkrytycznie dają się oszukiwać.

Ponieważ redakcja “*Naprzodu*“ sprostowania mojego (co prawda niewygodnego dla niej) do dziś nie umieściła — zapytuję JWPana Posła, jako wydawcę tego pisma — publicznie, jako człowiek prywatny, czy z takiem postępowaniem redakcji „*Naprzodu*“ się solidaryzuje i czy je pochwala?

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Władysław Błocki,
inspektor stacji klimatycznej.

PLEBISCYT.

Korespondent paryski „*Gazety Warszawskiej*“ donosi:

Dnia 27 września Rada Naczelna Konferencji Pokojowej ostatecznie postanowiła, że terytorjum plebiscytowe na granicy polsko-czeskiej obejmie: cały Śląsk Cieszyński, powiaty trzciański i namiestowski na Orawie, oraz starowiejski na Spiszu. Oprócz tego na Spiszu należeć będzie do terytorjum plebiscytowego część powiatu kieżmarskiego, znajdująca się na północny-wschód od działu wodnego między zlewiskiem Dunajca i Popradu, wraz z gminami, przez które ta linja przechodzi.

Ziemie, tak określone, będą oddane pod zarząd komisji międzysojuszniczej, a w dniu oznaczonym przez komisję całe terytorjum plebiscytowe zostanie opuszczone przez wojska polskie i czecho-słowackie, a zajęte przez wojska sprzymierzone.

Plebiscyt odbędzie się w terminie trzechmiesięcznym. — Będą głosowały osoby, które ukończyły lat 20 w dniu 1 stycznia 1919 r., które zamieszkiwały lub miały prawo przynależności do gmin terytorjum plebiscytowego przed 1 sierpnia 1914 roku. Nie będą głosowały osoby, które wykonywały jakąś funkcję publiczną lub uzyskały prawo przynależności, będąc urzędnikami. Głosowanie odbędzie się gminami.

Wynik głosowania zostanie zakomunikowany Radzie Naczelnej, która na jego podstawie wykreśli granicę polsko-czeską, biorąc pod uwagę wolę ludności, oraz położenie geograficzne i gospodarcze miejscowości. Decyzję swą główne mocarstwa zakomunikują rządom polskiemu i czesko-słowackiemu, których władze — w przeciągu jednego miesiąca — wezmą w posiadanie ziemie im przyznane. Jak tylko zarząd ziem tych będzie zapewniony, władza komisji międzysojuszniczej się ukończy. Koszta administracji terytorjum plebiscytowego, oraz wydatki komisji pokryte zostaną przez państwo polskie i państwo czesko-słowackie proporcjonalnie do rozmiaru ziem, które przypadną każdemu na skutek plebiscytu.

Wiadomość tę podaje w streszczeniu półurzędowa P. A. T., która donosi również, że Narodowy Komitet Obrony Spisza i Orawy wysłał do J. Clemenceau, prezesa ministrów w Paryżu, następujący telegram:

Głęboko dotknięci decyzją komisji, przyznającej republice czesko-słowackiej całą dolinę Popradu ze staremi polskiemi miastami Lubowlą, Podolińcem i Kieżmarkiem, zamieszkałemi przez 30 tysięcy Polaków, prosimy Waszą Ekscelencję, jako obrońcę wolności i sprawiedliwości, o użycie całej swej władzy w celu poddania plebiscytowi kraju tego historycznie i etnograficznie polskiego. — *Władysław Szajnocha*, prof. Uniwersytetu krakowskiego. *Stanisław Osiecki*, wicemarszałek Sejmu.

KRONIKA.

Miniony wrzesień pod względem pogody przedstawia się bardzo korzystnie. Przy małem średniem zachmurzeniu (4.6), ilość godzin słonecznych wynosiła 192, to znaczy przeciętnie dziennie mieliśmy 6.4 godziny słońca. Dni z opadami notowano 8, wysokość opadów była 69.5 mm.

Średnia temperatura września (12.0°) jest wyższą od średniej czerwca r. b. i tylko o pół stopnia niższą od średniej lipca. W cieniu najwyższa notowana temperatura była 25.5. w słońcu 49.2°. O jeden stopień poniżej zera spadł termometr raz tylko w nocy z 23-go na 24-go.

Ciśnienie powietrza, naogół wysokie (średnia 693.3 mm.), kilkakrotnie przekraczało 700 mm. *B. W.*

Ochrona przyrody. Starostwo nowotarskie wysłało do Zwierzchności gminnych, Przełożonych obszarów dworskich oraz Posterunków Żandarmerji w powiecie następujący okólnik:

Rozporządzeniem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego („*Monitor Polski*“ z dnia 16 IX 1919 nr 208) celem ochrony zabytków przyrody zakazuje się niszczenia, uszkadzania lub wywożenia z kraju następujących okazów przyrody znajdujących się w tutejszym powiecie:

1. Modrzewie polskie.
2. Limby w całych Tatrach.
3. Okazy dębu, w szczególności dęby koło kościoła w Dębnie, pochodzące z XV wieku.
4. Okazy jesiona pospolitego (w Zakopanem przy ul. Kościelnej u p. Walczaka).
5. Okazy lipy (w szczególności lipa na północ od restauracji w Dolinie Kościeliskiej w Tatrach).
6. Fiołek alpejski w Tatrach.
7. Szarotka w Tatrach.
8. Orzeł przedni, kozica, świstak w Tatrach.

Polecam przeto czuwać, ażeby tych zabytków przyrody, zdobiących nasz kraj nie niszczono. O wszystkich przekroczeniach donosić Starostwu względnie Sądowi do ukarania winnych.

Szczególnie polecam dopilnować ażeby na dworcach kolejowych i drogach publicznych nie sprzedawano szarotek. Sprzedającym należy odbierać szarotki i dostawić Starostwu do ukarania.

Niniejsze rozporządzenie należy ogłosić w sposób w gminie praktykowany i zwrócić uwagę ludności na skutki karne.

Kierownik Starostwa: *Dr Łącki.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Jan Lach w Dobrej. Memorjał w sprawie leśnej otrzymaliśmy. — Sprawę poruszy w interpelacji jeden z posłów sejmowych.

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ.

Z podróży do Tropików.

3

Wracamy późnym wieczorem w kierunku portu. Słychać dźwięki piekielnej muzyki bez początku i końca, bez żadnego określonego tematu. Piszczałki dmą bez tchu; na tem tle bęben wyprawia dziwne, nieregularne skoki. To wesele w bogatym domu tamilskim.

Muzykanci siedzą na ziemi w przedpokoju, a przechodnie z ulicy obserwują przez otwarte drzwi tajemnicze praktyki ślubne. Dalej świątynia brahmańska, w której odbywa się wieczorne nabożeństwo, stanowi dziwny kontrast z gwarem tamilskiego wesela. Nie wpuszczają nas do środka, mimo obietnicy zdjęcia pantofli. Stoimy we drzwiach, przejęci do głębi tajemniczym nastrojem wnętrza. Palą się lampy wiszące, w kształcie mis szklannych, umocowanych w mosiężnych, rzeźbionych oprawach. W głębi, na końcu małego kurytarzyka, ołtarz z posągiem Wisznu. Na stole, oświetlonym kagankami, trzymanymi przez rzeźbione, mosiężne czy złote postacie, stoją naczynia. Kapłan odprawia nad niemi modlitwy czy zaklęcia i daje coś do wypicia czy zjedzenia jednemu z wiernych. Po kolei przechodzą przez tę praktykę wszyscy obecni. Z głębi słychać monotonnie śpiewane modlitwy, trochę przypominające katolickie majowe nabożeństwo. Wzruszony naszem pobożnem zachowaniem się kapłan daje nam białe kwiaty, o zmięszanym zapachu jaśminu i tuberozy, nanizane na nitkę. Składamy drobną ofiarę i opuszczamy świątynię.

Fronton jej pokryty wypukłemi rzeźbami, przedstawiającemi stylizowane słonie i fantastyczne potwory. Na dachu ginącym w ciemności roi się od mnóstwa większych i mniejszych, pomięszanych ze sobą postaci. Mimo to panuje w tem wszystkiem dziwna miara stylu, dojrzałego przez wieki i wielość postaci nie sprawia wrażenia przeładowania. Wśród obcości ulicznego życia świątynia ta robi wrażenie jakiejś spokojnej oazy. Wobec wielkiej Tajemnicy Istnienia, wyrażonej we wszystkich religjach zatraca się nawet odległość rasowa.

Noc w syngalezkim hotelu niezbyt przyjemna. Na łóżkach moskitery, pomimo których moskity, dostawszy się przez jakąś niedostrzegalną dziurkę, tną bez litości. Od g. 4-tej z rana zaś zaczyna się straszliwy wrzask tysięcy kruków. Niewyspani i zmęczeni wyjeżdżamy o g. 7-mej rano ze stacji Maradana w kierunku Kandy, dawnej stolicy niezależnych królów Cejlonu.

(Dokończenie nastąpi).

Czcionkami drukarni „Polonia“ Jana Trybuły w Zakopanem.